

Jan Koniecpolski

"O, GDYBY UJRZAŁ GREK..."

Najpierw długo, długo zanim jeszcze nadszedł ów pamiętny dla polskiego teatru dzień 19 grudnia 1980 roku, przez kraj cały jak Polska długa i szeroka, przemieła taka oto rozmowa:

- Słyszałaś?

- Nie, a co?

- Nie słyszałaś? Skuszancka reżyseruje oraz inscenizuje u siebie w teatrze sztukę Papieta.

- O Boże!... Wszak ona marksistką!

- Eee, marksizm Skuszancki...

- Aha, więc jest ona jakby nowym Brzozowskim? I przeszła jakimś ową jakieś płodną uwyślowo, ale cierniami usłaną drogę: od marksizmu do katolicyzmu?

- Nie, raczej nie. Raczej jest ona jakby polskim Claudelom i niczym ów francuski pisarz doznała nagłego olśnienia. Z tą tylko różnicą, że nie w Katedrze Notre Dame, a w szczytowo-kryzysowym momencie swojej dyrekcji, co w dodatku i niechcący zbiegło się z trzęsieniem stołków po Sierpniu...

Następnie tu i ówdzie pojawiły się sprawozdania z przebiegu prac. Zrazu nieśmiało i sporadycznie: w prasie, w Polskiej Kronice Filmowej, w PR, w "Pegazie". Potem coraz częstsze, powiedziałbym, że cały gasi: w Dzienniku Telewizyjnym słynny niegdyś kontestator z Teatru STU Krzysztof Dziubiński rozpoczął nadawanie komunikato-reportaży, z których wynikało, że zapowiada się wydarzenie kulturalne, przy którym

"Dziady" Swinarskiego to pestka. W wypowiedziach swych Krystyna Skuszenka wiele mówiła o sile moralnej, jaką ma wnieść przedstawienie w nasze życie, a także sdelementowała rozmaite plotki na temat swego krzekomego koniunkturalizmu, twierdząc, iż wystawiłaby "Brata naszego Boga" nawet wówczas gdyby nie wiedziała, kto jest autorem. Tak Krystynę Skuszenkę dramat zafrepował. Wszystko to sprawiało takie wrażenie, jakby w tych dniach przed 16 grudnia nie było w PRL ważniejszych spraw, niż to przedstawienie teatralne w Krakowie...

Wreszcie nadszedł dzień premiery. Przywykła do świecenia pustkami i wycieczkami widownia Teatru im. J. Słowackiego po brzegi wypełniła się... Ho! ho! kim się wypełniła! Poopozna zasiedli TOWARZYSZE, OBYWATELE, BRACIA, OJCOWIE, PANOWIE, KOLEDZY, RODACY, LUD, NARÓD, PASTERZE, WILKI I OWCE... Po czym portierki z plaketkami "Brat naszego Boga" na piersi zamknęły drzwi i zaczęło się przedstawienie. Z głośników popłynęła muzyka Krzysztofa Pendereckiego, Powoli zaczęło wygasać światło na widowni i rozjaśniać się na stojącym na proscenium obrazie Adama Chmielowskiego przedstawiającym umęczonego Chrystusa. Obrazie, podczas malowania którego Adam Chmielowski zwątpił w sens sztuki i postanowił zostać Bratem Albertem. Następnie podniosła się kurtyna: na scenie zobaczyliśmy długi podest z surowego drewna ciągnący się w głąb, granatowe niebo z kłębiącymi się na nim chmurami, stojące na sztalągach obrazy Adama Chmielowskiego z lewej strony i staroświeckie latarnie uliczne z prawej. Padły też pierwsze słowa: "Czy nie zastanawiałeś się kiedy, Maks, że to, co my przeobtańamy poza sobą jest minkome,

świeżnie nowe..." Zaczniemy jednak od początku.

Kiedy w październiku 1978 roku Karol Wojtyła został wybrany papieżem, okazało się, o czym dotąd nie wszyscy wiedzieli, że mamy w Polsce jeszcze jednego wybitnego poetę i dramaturga. Czasopisma katolickie zaczęły na gwałt drukować wiersze, poematy, dramaty Karola Wojtyły. Wydane zostały zebrane pt. "Poezje i dramaty". Człowiek wśród filmowców kaszobczych, Krzysztof Zanussi, błąkający się dotąd wśród okropności współczesnego świata krzyci właśnie / o ile przypadkiem już nie nakręcił / kolejne swe dzieło o kochającym górę i prawdę młodym człowieku. Teatr w Wałbrzychu, który pragnął dotąd zdobyć sławę wystawiając albo to, co Michał Misiorny ma do powiedzenia o terrorystach /ciekawe, nawiasem mówiąc, co terroryści mieliby do powiedzenia o Michale Misiornym/, albo to, co Bohdan Urbankowski ma do powiedzenia o Polsce, albo porównując się na "Mistrza i Małgierzę" Bułhakowa, ostatnio dzięki sztuce Karola Wojtyły "Przed sklepem jubilerskim" upragnioną sławę prawdopodobnie zdobył.

Jednakże nieosiągalny jak dotąd szczyt osiągnął Bolesław Taborski, którego "essay" pt. "Karola Wojtyły dramaturgia wnętrza", wydrukowany w programie, towarzyszy przedstawieniu Krystyny Skuszanki. W swym "essay'u" pan Taborski daje upust swej dobrej woli oraz znajomości polskiego wiersza. Odkrycie dramaturgii Karola Wojtyły porównuje z odkryciem dramaturgii Witkacego i Przybyłowskiej. Pisze o "zjawisku niezwykłym, a nawet pod pewnymi względami unikalnym". A także zastrzega się, iż fakt, iż "te dramaturg ten został papieżem" ma

znaczenie drugorzędne. W napisanym przez 19-letniego Karola Wojtyłę dramacie "Dawid" powiada, iż został on napisany "prozą, wierszem białym i rymowanym". Z kolei "Hiob" napisany jest "całkowicie wierszem cząściowo rymowanym, cząściowo białym, o ósmiu i dziewięciu zgłoszkach", zaś w "Jeremiaszu" autor - adn-
 niem pana Taborakiego - "stosuje rozmaite rodzaje białego i rymowanego wiersza, różnicuje długość linii, ilość akcentów i sylab, używa też prozy i - po raz pierwszy - rozległych didaskalii..." Zachwyty w "essay'u" Bolesława Taborskiego jest więcej. W dramacie "Brat naszego Boga" pan Taborski dopatruje się szeregu podobieństw z dramatem romantycznym: z Kra-
 sińskim, Norwidem i Wyspiańskim. Dodaje jednak: "Ale jakże swobodnie bez kompleksów i - bez naśladowania - autor "Brata naszego Boga" z wzorców tych minochodem korzysta, budując wzorzec własny". Zachwyty pana Taborskiego nie omijają także bohatera dramatu Karola Wojtyły "Osoba Adama Chmielowskiego - bojownika o wolność, wysoko cenionego malarza, który porzu-
 cił sztukę, aby pokornie służyć biednym i w ten sposób aktyw-
 nie walczyć ze społeczną niesprawiedliwością, zawsze żywo przemawiała do wyobraźni polskiego narodu. Surowy krytyk /.../
 zniszczył wiele swoich obrazów, ponieważ nie był z nich zado-
 wolony. Przetrwało ich jednak dość, aby Adam Chmielowski ukazał się nam jako prekursor nowoczesnych kierunków w malar-
 stwie, wybitnie inteligentny i twórczy krytyk. Ale właśnie jego bezcenny przykład spracny, samopoświęcenie i prace dla biednych są najbardziej imponujące i godne pamięci".

Ale tak się, niestety, składa, że jednak w życiu

Adama Chmielowskiego najbardziej imponująca i godna podziwu była t y l k o praca dla biednych /no i, oczywiście, udział w powstaniu styczniowym/. Dobry ten człowiek był, niestety, malarzem drugorzędnym i takich jak on pętały się wówczas po Krakowie tuziny /prekursorstwo" Adama Chmielowskiego to chyba żart pana Taborskiego?/ Krytykiem był wogóle żadnym, gdyż zajmujący go problem zależności sztuki od moralności artysty, nie należał ani do sztuki, ani do krytyki sztuki, tylko do psychologii obyczajów lub do najgłębszej styki.

Nie bowiem na to nie można poradzić, że np. największym dramatopisarzem XX wieku jest kryminalista, sędzią i autorem - Jean Genet. A o ileż bardziej dramatycznym wydaje się życie van Gogha, który senem spełnił się w życiu jako wielki malarz, próbował i duszpasterstwa, i pracy dla biednych, i nasy innych środków, przy pomocy których - jak wierszył - zmienić życie swoje i innych. A i to okazało się tematem jedynie na melodramat. W porzuceniu "niekochanej" sztuki i decyzji pracy dla biednych Adama Chmielowskiego nie ma żadnego dramatu, podobnie jak nie musi być dramatu w tym, że ktoś decyduje się np. zostać księdzem.

Dlatego też dramat Adama w dramacie Karola Wojtyły jest pozorny. Jest bowiem dramatem tendecyjnym, to znaczy takim, w którym postawa bohatera i jego antagonistów prowadzi do udowodnienia z góry założonej prawdy. Wybór, którego dokonuje Adam, jest wyborem z góry słusznym. Wątpliwości naję z góry założone pozytywnie-chrześcijańskie rozwiązanie.

Dysputy Adama z innymi postaciami sztuki są więc pozorne, ponieważ i tak wiadomo od początku, że prawda, do której Adam dąży, jest prawdą autora i daną mu z góry przez autora. Bardziej niż dramaty romantyków i Wyspiańskiego przywołana "Bret naszego Boga" niestety dzieła Leona Kruczkowskiego... Kiedy w ostatniej scenie /ruch jasna ze sceną/ wybucha rewolucja /"Wielki słuszny gniew"/ i Adam-Bret Albert mówi: "Wiem jednak na pewno, że wybrałem większą wolność", prawda ta brzmi prawdziwie z jednego tylko punktu widzenia. Katolickiego. /U Leona Kruczkowskiego prawdy brzmiały prawdziwie też z jednego tylko punktu widzenia/. Jak na teatr jest to jednak za małe.

Co w dramacie Karola Wojtyły jest przynajmniej świetną miejscami polszczyzną i literaturą /przyprawioną wprawdzie odrobinę młodopolską retoryką i żeronaszczyzną/, którą chwilami czyta się nawet z zaciekawieniem, w przedstawieniu Krystyny Skuszanek brzmi jak zbiór pustych i dętych banałów. koncepcja rozegrania dramatu w jakby wnętrzu Adama Chajelowskiego zmienia "Breta naszego Boga" w zupełnie kasmalnie amoralniające, szlachetne że tytułowy bohater, grany na zmianę przez Jana Frycxa i Jerzego Grałka, jest nie tyle przedmiotem zdarzeń, ile ich konferansjerem. W Adamie Jana Frycxa jest przynajmniej trochę wigoru i pasji, Adam Jerzego Grałka jest rozlaną i nijaki. Wszystkie sceny zbiorowe, jak zwykle u Krystyny Skuszanek, są nieurwane i poza tym, nie dzieje się w nich nic. Kwestie dotyczące sztuki, filozofii i teologii brzmią w ustach aktorów Krystyny Skuszanek, jakby aktorzy mieli z podobnymi kwestiami do czynienia po raz pierwszy w życiu.

Jedyny wyjątek stanowi Wojciech HętarSKI, który w roli satanicznego rewolucjonisty Noemajowego buduje postać konsekwentną od początku do końca, tekst mówi jak własny pojawiając się od czasu do czasu na scenie, wnosi trochę życia. Niestety pojawia się rzadko. Biedni nawiedzający Adama, sprawiają takie wrażenie, jakby przebrali się za nich aktorzy Teatru im. J. Słowackiego. Pomyśły reżyserskie Krystyny Skuszan-ki są jak zwykle na poziomie: podświetlanie podtekstu od spodu w chwilach wątkich dla Adama: Biedak-Chrystus-Paweł Galia, którego Adam zarzuca sobie na plecy i taszczy, w momencie dla siebie przełomowym: Wózek Żywota, który bracia w ostatniej scenie już to pchają, już to naprzwiają, już to ciągną... Nie ratuje przedstawienia nawet ostatnia, najlepsza scena. Pod wielkim krzykiem. Pozostaje po nim przesłanie, że mądrym być to wielka sztuka, ale dobrym jeszcze większa. Ale także coś dużo bardziej smutnego. Że oto przez tych trzydzieści parę lat w polskim teatrze nie się nie stało. Że nie było w nim Schillera, DeJaka, Puszy-ny, Swinarskiego Jarockiego i Grotowskiego... że nie było w nim Krystyny Skuszan-ki i Jerzego Krasowskiego.

"O, gdybym ujrział Grek igrzyska nasze..." - jak powiada Mandelstam. Poeta, którego walka ze słowem nie została jednak uwieczniona żadną nagrodą.